

Toeplitz

6 kwietnia 2010

Co można powiedzieć po śmierci Krzysztofa Teodora Toeplitza?

W kraju, który przeżył tyle historycznych zakrętów, na których łatwo było wypaść z obiegu, fenomenem była już sama jego publicystyczna długowieczność. Upadały osobistości, rządy, ekipy i ustroje, a Toeplitz stale prowadził felieton pod legendarnym tytułem „Kuchnia polska”.

Był on ponadto scenarzystą serialu „Czterdziestolatek”, którego postacie, żarciki i powiedzonka zapamiętała cała Polska. Pomijając jego (mniej interesujące) dłuższe przedmowy, eseje, rozprawy i studia, i tak można zapytać: komu poza nim aż tyle się udało?

Toeplitza nie da się jednak zbyć okolicznościowymi pochwałami. Ale, gdy tylko spróbuje się o nim powiedzieć coś więcej, zaraz wyrwie się głos protestu: „Łobuz! Nie uszanował śmierci wielkiego człowieka! Precz!”. A po drugiej stronie odezwie się echo: „Faktycznie, to niezły łobuz! Wychwała postkomunistę. Sam jest wart swojego bożka”. Potem nasi dyskutanci zajmą się wzajemnym przekrzykiwaniem. – „Gdyby nie pan Krzysztof, który zawsze bronił rozumu – wrzaśnie ten pierwszy – czarni już dawno wbijałoby naszym dzieciom do głowy, że ziemia jest płaska. A używanie globusów, jak również prezerwatyw, byłoby zakazane”. – „Pleciesz!” – padnie równie zaciekrzewiona odpowiedź – „Toeplitz to nie rozum, tylko łgarstwo. Przecież to on bronił stanu wojennego i... wymordował górników w kopalni Wujek”. No, sorry, trochę przesadziłem. Ale zagalopowuję się w słusznej intencji.

Najciekawsza w tym wyobrażonym sporze byłaby jednak przypatrująca mu się przez ramię milcząca większość. – „O kogo oni tak się żrą?” – zapytałby w końcu ktoś lekko zaciekawiony z jej szeregów. – „O jakiegoś Toeplitza” – wyjaśnią dobrze

poinformowani. – „To on jeszcze żył?” – zdziwi się słabiej zorientowany. – „Pewnie” – wytłumaczy mu zaprzyjaźniony bywalec – „Dopiero kilka dni temu umarł. Byłem na Onecie i widziałem nekrolog”. – „Nie czepiajcie się Toeplitza” – poproszą łagodni. „Czterdziestolatek” to momentami zabawna starość”. – „Mógł nie popierać PRL” – nie zgodzą się surowsi. I wreszcie odezwie się internetowy Salomon: „Szkoda czasu kłócić się o Toeplitza. Był, odszedł, szacun i szlus. Teraz już inaczej się pisze”.

Trudno ukrywać, że Toeplitz od dłuższego czasu nie należał już do czołówki mędrców opiniotwórczych. Przyczyniła się do tego nie tylko jego pokoleniowa czy organizacyjna przynależność, lecz również orientacja światopoglądowa. Bo jednego – mianowicie stałości bardziej ogólnych poglądów i przekonań – Toeplitzowi nie da się odmówić. Niejednokrotnie zmieniał on pisma, gdzie publikował, jak również grupy polityczne, na które stawiał. Zawsze jednak uważał się za człowieka polskiego – oraz, naturalnie, europejskiego – Oświecenia. I – przynajmniej – był nim rzeczywiście. Tylko, że taka klasyfikacja nie jest wcale jednoznacznym komplementem.

Polska formacja oświeceniowa, przy wszystkich jej zaletach i zasługach, miała też cechy mocno irytujące. Wśród tych ostatnich rzuca się w oczy jej wtórność. Nieprzypadkowo koryfeusz Polski oświeczonej, Tadeusz Boy-Żeleński, był przede wszystkim – na ogół znakomitym – tłumaczem i komentatorem literatury francuskiej. Lecz oryginalne próby literackie mają w jego dorobku szczupłe miejsce i – mówiąc szczerze – nie olśniewają. Idąc dalej, tutejsi oświeceniowcy – głosząc, że w czasie historycznym wszystko płynie, zmienia się i rozwija – sami nie chcieli umyślowo ewoluować. Na biegunie programowej skrajnej konserwy długo trzeba byłoby się rozglądać za równie zamkniętym umysłem, jak ich następny idol, Antoni Słonimski. Ów rzekomo postępowy poeta o swych kolegach z XX wieku miał do powiedzenia głównie tyle, iż odeszli oni od „sensu, rytmu i rymu” na rzecz „modnej blagi”. Aby tak bezmyślnie

dyskwalifikować, musiał on nie wziąć do ręki (albo przejrzeć i niczego nie zrozumieć z) nie tylko Trakla, Eliota czy Przybosia, ale nawet z de Nervalą czy późnego Słowackiego. Podczas swoich turystycznych wędrówek po Palestynie czy Ameryce Południowej, Słonimski zauważał niemal tylko emigrantów z Polski, z którymi mógł powspominać, jak pięknie umiano się kiedyś bawić w stołecznych lokalach.

Również w swojej publicystyce politycznej Słonimski okazuje się jakimś cudem zamrożoną i reanimowaną postacią z XIX wieku (i to, w dodatku, z jego najbardziej powierzchownego i anachronicznego nurtu). Przez dziesiątki lat powtarzał on z błyskotliwą oryginalnością zegarowej kukułki, że Polska musi się zmienić, aby się unowocześnić. Czego to miało wymagać? Oczywiście, popularyzacji nauki i techniki. Przydałoby się nam także fachowi eksperci. Uważajmy jednak – dodawał czujny Słonimski (szczególnie w ostatnich latach swej twórczości, gdy współpracował z katolickim „Tygodnikiem Powszechnym”) – żeby z wydumanych teorii, formułek i patentów naukowców coś złego nie wynikło. Przykro przecież byłoby myśleć, że człowiek nie powstał z woli wyższej siły, która nim się opiekuje, tylko z jakiegoś białka. A co będzie, jeśli znawcy białka tak pomajstrują przy naszym poczęciu, że dorobią nam trzecią nogę albo rogi na czole?

Słonimskiemu podobałaby się Polska z większą dawką społecznej równości. Wprowadzając egalitarne reformy – przestrzegał – nie wolno jednak stosować przemocy. Bo chyba wiadomo, jakie krwawe rzeczy wyrabiały się za naszą wschodnią granicą. Gdyby ktoś tego nie wiedział, międzywojenne reportaże Słonimskiego z jego wycieczki do ZSRR oświeciły go, że w kraju sowietów biorą za twarz i pędzą do roboty. Wobec tego, bijmy bolszewika? Z tym również lepiej ostrożnie. Gotowe byłyby przyłączyć się do nas – i sprytnie zdominować – prawicowe potwory z endecji. Jeśli eksperymenty z masowymi rewolucjami są niebezpieczne, to może warto spróbować rządów wykształczonej elity? Niezły pomysł. Ale i z nim się pilnujemy, bo pachnie on dyktaturą.

Wyposażenie umysłowe oświeconej, postępowej i nowoczesnej części polskiej inteligencji, które zawdzięczała ona Słonimskiemu i jego wychowankom, składało się więc ze sztywnych schematów poznawczych, powierzchownych haseł i ocen, a w dodatku (wbrew głoszonemu tam kultowi ścisłego myślenia) – z oczywistych sprzeczności. Zauważmy przy okazji, że XX-wieczni misjonarze Oświecenia nie prezentowali się o wiele lepiej w zachodnim wielkim świecie niż na jego polskiej prowincji. Czy – uwielbiany kiedyś u nas – entuzjasta „społeczeństwa otwartego” i odkrywca „nędzy historyzmu”, Karl Popper, nie był ideowym bliźniakiem Antoniego Słonimskiego, o którym nawet nie słyszał? Łączyła ich płycizna umysłowa, która bardziej znanemu z nich kazała zbywać Hegla obelgami i udzielać praktycznych rad w stylu: trochę „inżynierii społecznej”, ale nie za dużo, wolny rynek – tak, lecz telewizja komercyjna – nie.

Przypisanie się do tradycji oświeceniowej nie daje patentu na mądrość. Wielokrotnie dowodzi tego twórczość Toeplitza. W „Czterdziestolatku”, nie szukając daleko, straszy przyjaciel inżyniera Karwowskiego i dyskretny wielbiciel jego małżonki, lekarz pogotowia ratunkowego, Karol. Gdy państwo Karwowscy mają kłopoty, próbuje pomóc im pogadankami, które brzmią tak, jak gdyby nauczył się on na pamięć felietonów z „Kuchni polskiej” (oraz słów wstępnych i końcowych jej autora do książek z PIW-owskiej serii „plus/minus nieskończoność”). Widownia ciągle tu czy tam wznawianego „Czterdziestolatka” wścieka się pewnie na Karola, że mądrzy się on i nudzi zamiast zrobić coś zabawnego. Tyleż jemu, co felietoniście, który go wymyślił, zależy jednak na pouczeniu i wychowywaniu. W tym szczytnym celu gotowi są sporo poświęcić z estetycznej i rozrywkowej wartości swoich wypowiedzi. Toeplitz – w porównaniu z bardzo mu bliskimi poglądami i życiorysami politycznymi Danielem Passentem czy Jerzym Urbanem – znacznie rzadziej popisywał się wyszukaniem sformułowania czy morderczą polemiką. Zawsze natomiast starał się przekonać do stanowiska, które wydawało mu się po prostu identyczne ze zdrowym

rozsądkiem.

Problem w tym, że ów oświecony rozsądek nie zawsze był rozsądny. Karol dowodzi, że oprócz tekstów Toeplitza czytywał też równie rozgadane i pewnego siebie, co pogubionego myślowo Słonimskiego. Podoba mu się techniczny rozwój Polski, któremu jego przyjaciel służy na gierkowskich wielkich budowach. A równocześnie radzi Karwowskiemu, żeby – jak na człowieka współczesnej cywilizacji przystało – więcej uwagi niż inżynierskiej szarej robocie poświęcił wzbogacaniu swej osobowości w czasie wolnym.

Gaduła Karol sprawia ulgę chociaż tym, że jak zaklęty milczy o polityce. Toeplitz natomiast nie był równie wstrzemięźliwy. Przesłanie polityczne wpisywał nawet w rozrywkowy serial o tematyce rodzinnej. Na pierwszy rzut oka, nie za bardzo wiadomo, dlaczego publiczność tak pokochała „Czterdziestolatka”. Sytuacje fabularne są tam ubogie i przewidywalne, a sylwetki bohaterów – schematyczne. Wieczny pedagog Toeplitz zdręcza nas podwójnym aż cyklem pogadarek, które – obok Karola – wygłasza Kobieta Pracująca. Wszystkie te wady równoważy jednak osiągnięcie, którym felietonista o zdecydowanie ateistycznym światopoglądzie mógłby zaimponować wybitnym papieżom historii najnowszej. „Czterdziestolatek” jest doskonale ekumeniczny.

W ostatnich dekadach PRL, zapisując się do partii lub nieco później do „Solidarności”, kupując „Politykę” bądź „Tygodnik Powszechny”, idąc na zebranie partyjne albo „na papieża”, siłą rzeczy dokonywało się wyborów. Tymczasem postacie „Czterdziestolatka”, pomimo ich języka i mieszkań w stylu retro, w pewnym ważnym sensie nadążają za współczesnością. Mianowicie, żyją w świecie – według modnego określenia – postpolitycznym. Zdaje się, iż ojciec Magdy Karwowskiej należy do niezłomnych antyreżimowców, podczas gdy jej mąż zaczynał karierę w ZMP i nosi w kieszeni czerwoną legitymację. Różnica ta (co według bystrych obserwatorów dzisiejszej polityki przytrafiło się podziałowi na lewicę i prawicę) straciła

jednak znaczenie. Liczy się to, że Stefan rzuca palenie, występuje w telewizji i przemeblowuje mieszkanie.

Ekumenicznego „Czterdziestolatka” mogli w najlepszej komitywie obejrzeć sekretarz zakładowej organizacji partyjnej, działacz parafialny i sympatyk opozycji. Każdy z nich znajdował tam coś dla siebie. Prześmiewając – zresztą dosyć łagodnie – żargon propagandy, biurokratów z ministerstw i kastę dyrektorską, Toeplitz zarazem pokazywał, że Polska, choć trochę inaczej niż to się twierdzi w przemówieniach I Sekretarza, istotnie rośnie w gospodarczą siłę, a zwyczajnym ludziom żyje się w niej dostatniej. Jeszcze inaczej mówiąc, po okupacji niemieckiej, stalinizmie, późnym Gomułce i Moczarze, marcu 1968 i grudniu 1970, nareszcie jest względnie normalnie.

Zaprowadzając tak rozumianą zgodę narodową, Toeplitz pozostał człowiekiem Oświecenia. Filozofia wieku światła, przekreślając Opatrzność, skłonna była postawić na jej miejscu racjonalnie poznawaną konieczność, której – tak samo, jak Bogu i jego wyrokom – nie miało sensu się sprzeciwiać. A Wolter wskazał w „Kandydzie”, że w świecie, który skądinąd nie jest ideałem, zawsze można uprawiać swój ogródek.

Te uniwersalne obserwacje i rady znalazły w Polsce swoją szczególną formułę, którą nazwano realizmem. Ów obraz świata – i zarazem program – nie znalazł chyba bardziej przekonanego zwolennika niż Toeplitz. Podobnie jak on myślący Urban i Passent byli – każdy na swój sposób – zgorzkniali i cyniczni. Toeplitzowi natomiast wydawało się, że i krajowi, i jemu osobiście historyczny bilans kalkuluje się nawet nie na zero, ale na całkiem spory plus.

Powyższym optymistycznym związkiem podsumował on generacyjnie bardzo typowe doświadczenia. Debiutując u progu tzw. czasów stalinowskich, Toeplitz zapewne nie odnosił wrażenia, że publikując w prasie kontrolowanej przez komunistyczną monopartię, miałby tym samym zdradzać, kapitulować czy kolaborować. Sądził raczej, że razem z wielkimi fabrykami,

tanią książką i szkoleniami usuwającymi analfabetyzm, do Polski przybywa długo daremnie wyczekiwane Oświecenie. A że – trudno zaprzeczyć – zamiast uniwersyteckich katedr i kółek samokształceniowych inicjowały je obce czołgi? Ta przykra okoliczność dawała się uznać od biedy uzasadnioną reakcją rozumu historycznego na katastrofę, którą pod brunatnymi sztandarami wywołali wrogowie oświeconego postępu.

Indywidualność publicystyczną Toeplitz wyrobił sobie dopiero w okresie burzenia pomników Stalina. Demaskując ponure cechy świeżo minionej przeszłości, nie musiał w ogóle zmieniać swego głębszego credo. Podobnie jak większości ówczesnych pogromców „błędów i wypaczeń”, oficer bezpieczeństwa kojarzył mu się z inkwizytorem, a sekretarz do spraw ideologicznych – z kardynałem stojącym na straży dogmatów. Skoro socjalizm pozbywa się tego wszystkiego, co w nim było sprzeczne z Oświeceniem, to chyba nadchodzi epoka samorządności i swobodnej dyskusji?

Niestety, Gomułka wkrótce ubezwłasnowolnił rady robotnicze i pozamykał sztandarowe tytuły antystalinowskiego przełomu. Pogodzenie się z tym dotkliwym dla nich zwrotem ułatwił polskim oświeceniowcom pielęgnowany przez nich mit ciemnych sił, które nieprzerwanie czają się, by zdusić światło. Przypuśćmy – fantazjowano w ich gronie – że Gomułka okazałby się równie bierny i bezradny, jak przywódca węgierski, Imre Nagy. Czy w takim wypadku podniecony tłum nie spaliłby ambasady radzieckiej, prowokując interwencję i rzeź w stylu budapeszteńskim? Niewykluczone, że stałoby się coś jeszcze gorszego. Gdyby na wiece i demonstracje dotarły ulotki z odpowiednio dobranymi nazwiskami prominentnych pracowników wiadomego resortu, nie kazałyby na siebie czekać pogromy antysemitki.

Bystry obserwator, jakim potrafił być Toeplitz, nadspodziewanie łatwo uwierzył w „Ciemnogród”, kryjący się rzekomo na prowincji i wśród słabiej wykształconych warstw społeczeństwa. Jego słynny niegdyś felieton obwieszczał w

tytule, że „Mława atakuje”. Ta mylna diagnoza skłaniała do ulegania rzeczywistości, która coraz bardziej szyderczo przeczyła ideałom. „Nie jest najlepiej, ale mogło być sto razy gorzej” – podpowiadał głos wątpliwego realizmu.

Do czasu realiści wmawiali sobie nawet więcej: że powoli staje się coraz lepiej. Ostatecznie wsadza się już dosyć rzadko i na krótko, a w gospodarce coś tam rośnie. Jeśli by Polska uniknęła Sierpnia '80, a realny socjalizm – swego krachu sprzed dwudziestu lat, wówczas „Czterdziestolatek”, starzejąc się niespiesznie i pogodnie ze swym bohaterem, jeszcze przez dekady pozyskiwałby widzów dla tego typu trzeźwej mądrości. Na nieszczęście (z punktu widzenia Toeplitza) dorobek stabilizacji stanął pod znakiem zapytania. Kraj – choć póki co bezkrwawo – znów podzieliły barykady.

Jest paradoksem, że po stronie władzy, a tym samym przeciw „Solidarności” stanęli wtedy dziennikarze (w towarzystwie Toeplitza znów należałoby wymienić Urbana i Passenta), którzy za demokratyzacją i reformami w gospodarce opowiadali się od dawna. Niełatwo ocenić, który z prześladowanych ich strachów miał większe oczy. Czego – innymi słowy – bardziej się obawiali: kolumn pancernych ze wschodu czy Ciemnogrodu z Mławy? Dość, że przyszłość kraju uznali za sprawę zbyt poważną, by wolno ją było pozostawić strajkującym tłumom. Nic w tym nowego: wielu klasyków Oświecenia bardziej ufało rozumnemu despotce niż nieobliczalnej masie.

Dziś, niestety, staje się już prawie niezrozumiałe, że ktokolwiek – a tym bardziej człowiek tak inteligentny, jak Toeplitz – był w stanie dopatrywać się polskiej kopii Fryderyka Wielkiego w takiej nicości, jaką po roku 1989 coraz ewidentniej okazuje się Wojciech Jaruzelski. Mężowi stanu wolno od wielkiej biedy popełniać zbrodnie. Nie powinien on jednak służyć za tajnego informatora umundurowanemu szpiegowi, który później został jego podwładnym w rządzie. Jak reagował Czesław Kiszczak, gdy Jaruzelski próbował mu za coś zmyć głowę? „Wolski”, nie podskakuj!?

Niejeden z ludzi pióra – dodajmy od razu – którzy w III RP poczuli się na tyle odważni, żeby tępić słabnącego i coraz bardziej izolowanego Toeplitza, mylił się jeszcze śmieszniej. Generał Pinochet zakładał konta bankowe pod sfigowanymi nazwiskami i przelewał na nie grubą forszę z handlu narkotykami. Jego uważać za obrońcę sprawdzonych wartości? Tak, to niezłe.

Dylemat „Jaruzelski czy Pinochet”, daje miarę naszych skrajności z lewa i prawa. Systematycznie udaje się im rzecz niebywała: skompromitować i się ogłupić w jeszcze większym stopniu niż mainstream. Skupmy się jednak na KTT. W nowej rzeczywistości starał się on znowu znaleźć w rozsądnym środku. Rzecz w tym, iż nie za bardzo go tam chciano i zapraszano. Mało prawdopodobne, żeby stanowiło to szczerą karę za incydenty w rodzaju wypominanego mu felietonu o Sewerynie Blumsztajnie, który gdzieś w połowie generalskiej dekady próbował bez powodzenia wrócić do kraju. Odpowiednie służby zatrzymały go na Okęciu, powołując się na pretekst, iż legitymował się on chyba rzeczywiście nieważnym paszportem. Sam Blumsztajn, na użytek prasy zachodniej, komentował swoją przygodę rzeczowo i spokojnie. Rozwścieczył tym Jacka Kuronia, który wykrzykiwał do telefonu: „Ty pierdoło! Nic nie mów o paszporcie! Powtarzaj w kółko, że Polska nie jest własnością Jaruzelskiego!”. Podsłuch oczywiście to zarejestrował, a telewizja wkrótce nadała. Solidarnościowa część narodu zacisnęła zęby ze złości, że wypowiedzi Kuronia jakoby sfałszowano. KTT, z kolei, wyraził punkt widzenia prorządowych realistów. Blumsztajn – komentował on mniej więcej w tym duchu – jest podobno mądrym człowiekiem i dobrym organizatorem. Wobec tego, czemu się wygłupia? My tu powoli zmieniamy coś na lepsze w prawie i ekonomii. Jeśli w tym nie pomaga, niech chociaż nie przeszkadza.

Znając realia tamtych lat, jestem prawie pewien, że Toeplitz postarał się – prywatnie, ale na tyle głośno, by jego słowa powtórzono Kuroniowi i Michnikowi – tak lub podobnie uzupełnić

swój felieton: „Odpuście mi tekst o Sewku. Jak wszyscy, lubię go i szanuję. Ale ruszcie głową: w roku 1981 uderzyliście frontalnie i co z tego wyszło? Pozwólcie więc nam, realistom, ponosząc tego pewne koszty, działać na system od wewnątrz”.

Skoro już się bawimy w political fiction: za niewiele dni do Toeplitza dotarł „message” ze środowiska KOR-owskiego: „Krzysiek, spoko. Adam i Jacek są za tobą. Wszyscy doskonale wiemy, że dopóki Jurek, Danek i Ty macie wpływ na generałów, nam krzywda się nie stanie”. Najzabawniejsze jednak wydarzyło się (już w historii realnej) nieco później. Mrówcza praca wewnątrzreżimowych realistów przestała być potrzebna. Reżim bowiem rozmontowały jego ośrodki kierownicze oraz służby, mające go chronić. Toeplitz latami przekonywał mozolnie, iż socjalizm nie wymaga aż tyle równości, żeby wszyscy od razu mieli eleganckie meble ze Swarzędza. Niech w pierwszej kolejności nacieszą się nimi pracownicy, którzy są najbardziej wydajni. Kiedy te felietony się ukazywały, mechanizmy systemu przygotowywały już wypłynięcie na pełne wody kapitalistycznej transformacji. A ich sternicy nawet bez racjonalnych pogadank wiedzieli, że dobre meble służą do umieszczania na nich własnego siedzenia. A już na pewno – nie do ich filantropijnej dystrybucji.

Toeplitz miał aż w nadmiarze typowo oświeceniowych cnót trzeźwości, zdrowego rozsądku i realizmu. Mimo to, rzeczywistość i w PRL, i potem w III RP stale płałała mu przykre figle. Może więc nie warto być realistą?

Na Oświecenie, postęp i modernizację powołują się ostatnio prawie wszyscy (nie wyłączając kombatantów rewolucji moralnych i konserwatywnych, którzy znaleźli przytułek do leczenia ran w „Krytyce Politycznej”). Ale jest to triumf pozorny. Platforma modernizacyjna nie potrzebuje publicystów z ideowym oddechem. Ma z nimi tylko taki związek, że swymi reformami szkolnictwa i mediów publicznych likwiduje krąg odbiorców, którzy chcieliby ich czytać i byli w stanie rozumieć. Z polskimi kopiami Oświecenia żegnajmy się z szacunkiem, ale stanowczo.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)